

Sekrety życia



Paweł Głowacki

krytyk teatralny i recenzent kultury,
postać barwna.



Sekretne życie Friedmanów. Fot. P. Sieraczyński, za zgodą Teatru Ludowego

Wtorek

O godzinie 14 minut 13 za biurkiem siadłem, by o przedstawieniu *Sekretne życie Friedmanów* napisać, a ledwie minutę później przyszła interesująca, cała z mojej ulgi ulepiona, refleksja: „A może by tak... nie dziś... a jutro... He?...?”

Środa

W południe powtórzyła się myśl wtorkowa. Nie protestowałem.

Czwartek

A niby w czym czwartek gorszy jest od środy i wtorku?

Piątek

Cóż począć, z *Sekretnym życiem Friedmanów* jest trochę jak z denty-
stą. Nie da się ocalającego spokój ducha rytuału odwlekania ciągnąć
w nieskończoność. Niestety. Trzeba w końcu zdobyć się na heroizm.
Tak, należało zacząć. Zasiadłem więc kolejny raz – lecz zacząć się nie
dało. Biurko brudne. A przecież nie uchodzi pisać na blacie zafajda-
nym. Więc – szmata, pasta, pucowanie. Finał trudu – piękne lśnie-
nie...! Tyle tylko że w trakcie pucowania blatu podłogę pod biurkiem
poplamilem szpetnie, a to nie uchodzi. Więc – szmata, wiadro, woda,
zmywanie. Pięknie? Owszem, wręcz cudownie... Lecz trochę i nie, gdyż
niesprawiedliwie. Pod biurkiem parkiet, owszem, błyszczący, lecz reszta
parkietu w estetycznej poniewierze. Znowu tedy szmata, wiadro, woda,
pucowanie. I byłoby pięknie, czyli mógłbym zacząć, lecz... Jak zacząć,
skoro kolejna niedopuszczalna asymetria się objawia? Pod biurkiem
cacy, reszta podłogi w gabinecie cacy, lecz szyba w drzwiach gabinetu
nie cacy. Dalejże więc szmata, płyn do czyszczenia szkła i sucha gaza
polerująca... Co dalej? Klasyka: od rzemyczka do koniczka. Rytuał
sprzątania w tempie rozkręcającym się! Coraz szybciej i szybciej!
Okna w gabinecie, szyby w sypialni i kuchni, parkiet w sypialni, ka-
felki w kuchni, kuchenka gazowa, naczynia, czajnik, krany na błysk
i na glanc kurki kuchenki gazowej, klozetowa muszla do białości jej
głębin najgłębszych, żarówki wszystkie, klosze co do jednego... I już
nie szybciej, a szaleńczo, z iście slapstickowym dygotem, z chaplinow-
skim amokiem w oczach... Oliwienie zawiasów, przetykanie dziurek
od klucza, przywracania klamkom lśnienia, strząsanie finezyjnym
pióropuszem kurzu z liści doniczkowych kwiatów... Słowem – wszyst-
ko! Absolutnie wszystko, dom cały, punkt po punkcie! I wszystko
to z pieśnią na ustach, pieśnią Lokajów od Witolda Gombrowicza,
dzielnie liżących trzewiki jaśniepaństwa! „Oj, pucem go do glancu!
I glancem go do pucu! Ozorem! Ozorem! Hej ha, hej ha, hej ha!”...
Zanim zemdlałem z bydlęcego wycieńczenia, czolgając się po przed-
pokoju, próbowałem złowić zupełnie zsiniałymi palcami tyci motek
kociej sierści, sennie w kącie wirujący, lecz nie dałem rady... Cyniczny
rechot zwycięskiego klaczka – to ostatnie, co pamiętam... A następne,
co zapamiętałem, to jak mnie, pół-trupa, Gosia po przyjściu z pracy
podnosi z podłogi i solami cuci. Kochana Gosia...

Niedziela

Nie chce być inaczej – moja próba pisania o seansie *Sekretne życie
Friedmanów* skończyła się tym, że umarłem w przedpokoju. Cała
prawda jest jednak trochę inna. Otóż – tego właśnie pragnąłem.
Wolałem bowiem samotną śmierć w męczarniach niż portretowa-
nie *Sekretnego życia Friedmanów*. Lecz rzeczywiście ciekawe jest, iż,
jak teraz dostrzegam, moją męczeńską śmiercią niechcący trafiłem
w sedno tego dzieła teatralnego, gdyż tak jak umarłem w piątek u sie-
bie w przedpokoju, walcząc z klaczkiem – tak umarłem na chodnik
po obejrzeniu *Sekretnego życia Friedmanów*. W obu przypadkach
przyczyna tragedii była jednaka. Fizyczne wycieńczenie totalne.

Wtorek

Tam, w bodaj trzypiętrowym – i niestety bez windy – gmachu
na tyłach Teatru Ludowego, gmachu, gdzie mieści się Scena

Stolarnia i gdzie grane jest *Sekretne życie Friedmanów*, przez Marcina Wierchowskiego wyreżyserowane, tam zatem, na tamtych schodach stromych – ile kilometrów pieszo pokonałem, śledząc trzygodzinny, pozbawiony przerw, seans? Powiedzieć, że tuzin, to mało powiedzieć. A przecież w prologu nic nie wskazywało, że się wykończę. Zaczęło się normalnie. Ludzie normalnie na widowni siedzą wygodnie, normalna ciemność normalnie zapada, po czym normalnie reflektory błyskają, na scenie zaś, jak to w teatrze, aktor się pojawia, najwyraźniej narrator, i zaczyna snuć opowieść o zdarzeniu dość słynnym, zdarzeniu nade wszystko prawdziwym. O tych smutnych zajściach Andrew Jarecki film dokumentalny *Capturing the Friedmans* kiedyś stworzył. Oto Arnolda Friedmana, komputerowego nauczyciela, i jednego z jego synów o pedofilię posądzono. Śledztwo długie było, bolesne, długi i bolesny był proces. Miała rację władza? Winni byli, czy niewinni? Do dziś – same niejasności. Jedno wszakże pewne – za plecami śledztwa i procesu rozsypuje się zacna rodzina Friedmanów, narasta obcość, puchnie ból, kruszeje dawne życie w czterech ścianach domu niegdyś spokojnego... I to już wszystko.

Czwartek

Zaczęło się więc normalnie, jak na normalny teatr przystało. Lecz nie minęło pięć spokojnych minut seansu, a okazało się, że narrator to nie narrator tylko przewodnik wysokogórski, zapewne tatrzański. Zagaiwszy temat, rzekł: „A teraz poproszę państwa za mną”. Cóż było robić? Wstaliśmy i poszliśmy pokornie.

Piątek

Przez bite trzy godziny bez wytchnienia – a każda kolejna dwa razy dłuższa od poprzedniej – chodzenie schodami w górę i w dół. Na wszystkich piętrach – pomieszczenia wielkie, małe i średniej wielkości. By tak rzec, stacje niesprawiedliwego cierpienia Friedmanów. Ich mieszkanie, sala komputerowa, wielka sala sądowa, gabinet głównej sędziny, pokój jednego z synów, więzienna przebieralnia, pokój przesłuchań – a każde z tych miejsc skonstruowane w poetyce skrajnego realizmu, wszystko w nich takie, dokładnie takie jak w życiu prawdziwym. My zaś – w niekończącej się podróży. W górę, w dół, w lewo, w prawo, w dół, jeszcze w dół, na strych, na parter, w górę, w lewo... Trzy godziny jak wieczność, sto osiemdziesiąt minut wspinaczki, dziesięć tysięcy osiemset sekund człapania coraz moźolniejszego, coraz bardziej somnambulicznego, w końcu – prawie bez świadomości. Człapania przypominającego los bohatera filmu Kazimierza Kutza *Zawrócony* – los nieszczęsnego Tomka Siwka, któremu zomowcy kazali w samych skarpetach ganiać schodami w górę i w dół aż do omdlenia, do tej ciemnej chwili, kiedy Siwek wolał umrzeć, niż pokonać kolejny stopień schodów, który zapewne rechotał z padającego Siwka tak cynicznie, jak koci kłaczek ze mnie, gdy m siał w przedpokoju. Lecz to jeszcze nie koniec...

Niedziela

Kłopotliwa wiara twórców w to, że wysokogórskie zmęczenie widza wyostrzy jego zmysły i pozwoli głęboko przejąć się losem Friedmanów – to pół biedy. Drugie pół – męczące jak trzygodzinna wspinaczka – tkwi w monotonii, brawurowo mówiąc, estetycznej. Dzieło Wierchowskiego – który to już w ostatnich latach w Krakowie spektakl teatralny, co w istocie nie jest ani spektaklem, ani teatrem, tylko szczerą, społecznie zaangażowaną publicystyką, dzielnym, dośkwierająco oczywistym reportażem bez cienia tajemnicy, metafory, sztuki po prostu? Który to z rzędu sceniczny komunikat zaledwie? Który to artykuł monotony, od innych tym się różniący, że bezliatośnie perypatetyczny? Lepiej nie liczyć... Ale za to – nie ma co kryć – mieszkanie moje odpicowane tak, że mucha nie siada.

